

Fryderyk Mauzens.

Z BAGNA PARYZA

11

— Raz!.. Dwa!... Trzy!...

Godzina jedenasta rano. Obydwaj przeciwnicy w czarnych strojach nieruchomi, wyprostowani, stali naprzeciw siebie na trawniku w welodromie. Rozdzielała ich przestrzeń trzydzieści pięciu kroków. Prawe ich ręce podniosły się jednocześnie i oba pistolety wypaliły. Po podwójnym strzale na chwilę milczenia, wszyscy pozostali bez ruchu, tak iż zdawać się mogło, iż pojedynkujący, świadkowie, lekarze i ciekawi zapadli nagle w jakiś kateptyczny sen... Razem jednak z obłokami dymu rozwiązało się i to osłupienie i wszyscy pośpieszyli do walczących, którzy opuścili już wyciągnięte ręce.

— Nie trafił!

Zdaje to powtarzane z ust do ust przedostało się zaraz i za welodrom, za którym stały panie, urzędnicy z welodromu i z kinematografów, reporterzy pism ilustrowanych z nastawionymi aparatami fotograficznymi, stangreci i szoferzy, oczekujący na swych panów i wszyscy powłazili:

— Nie trafił!

Piotra Cartelegue'a i Karola Turnera okrażył już cały tłum sportowców, klubowców, dziennikarzy. Rzadko zdarzało się widzieć przy pojedynku taki napływ publiczności. Wiele na to wpłynęła znana powszechnie i bardzo lubiana ogólnie osobistość króla stu dwudziestu koni; lecz więcej jeszcze tu działały zabiegi jego przeciwnika.

Panaon bowiem zatelefonował do wszystkich prawie główniejszych dzienników paryskich, podając fałszywe nazwisko i przedstawiając się za przyjaciela Piotra Cartelegue'a, rozgłosił to spotkanie między australijskim milionerem Karolem Turnerem a zwycięscą wyścigów samochodowych, jako ważny szczegół komunikował, iż ma nastąpić czterokrotna wymiana kul na przestrzeni dziesięciu kroków.

Dzienniki przed podaniem do ogólnej wiadomości tej owiny, starały się w pewnej mierze o jej sprawdzenie. Reporterzy pojawili się zaraz u Piotra Cartelegue'a, który jednak, nie przecząc niczemu, nie chciał dać żadnych wyjaśnień. Wyszli także na chmiasz przy ulicy Boissy d'Anglas cudzoziemskiego milionera, który okazał straszne osurzenie z powodu niedyskretych przyjaciela młodego sportsmena. Dziennikarze wysnuli z tego milczenia, iż przeciwnik Cartelegue'a mówił prawdę. Wkrótce potem zakomunikowano znowu prasie przez telefon nazwiska świadków, miejsce, a także dzień i godzinę spotkania. Ponadto podano także bliższe szczegóły, odnoszące się do Karola Turnera. Pisano, iż gentleman ten należy do jednej z najstarszych i najszlacheńszych rodzin angielskich, że osiadł w Australji i tam na wyrobie czekolady dorobił się milionowego majątku, dodawano przytem, iż obecną podróż swą po Europie przedsięwziął w celu założenia trustu czekoladowego. Szczególniej szeroko rozpisywały się o tem wieczorne gazety.

Reporterzy, nie mogąc interwiewować przeciwników przed końcem walki, zasypywali ich teraz gradem zapytań. Piotr uchylił się od dawań odowiedi i skierował się pośpiesznie do wyjścia, przed którym czekał na niego jego samochód. Karol Turner okazał się przystępniejszym i uśmiechniętym, stał otoczony rojem dziennikarzy.

— Tak, proszę panów — odpowiadał — miała nastąpić cztery okrotna wymiana kul... Zdaje mi się, że i pan Cartelegue tego chciał... Nie długo jednak widocznie obstawał przy tym zamiarze, gdyż jego świadkowie nie wspominali wcale o tem...

— A pan? Czy prosił pan swych świadków, by nie zgadzali się na tak ciężkie warunki?

— Owszem.

— Ach! ach! — ktoś szepnął.

— Tak! — potwierdził Panaon. — Nie chciałem się zgodzić na dwukrotną wymianę na piętnaście kroków, czy go pragnął pan Cartelegue i nie przystałem nawet na jeden strzał na dwadzieścia kroków, jak domagał się tego w osłabłości mój przeciwnik...

— Och, och! — szepnął ktoś drugi.

Reporterzy zapisywali szybko te szczegóły. Markiz de Bandricour i młody Garrigue odsunęli na bok przez dziennikarzy, oburzali się, słuchając tych wyjaśnień.

— Przecież on nie powinien poddawać się tym interwiewom — rzekł markiz półgłosem. Jest to zupełnie niewłaściwe.

— Widocznie takie zwyczaje panują w Australji — odezwał się Garrigue — Interwiewowanie praktykuje się daleko częściej w krajach anglo-saksońskich, niż we Francji... Drażni mnie jednak najbardziej to wychwalanie się jego własnym tchórzostwem... Co za głupiec! Wstyd nam wczoraj było, gdy stawiał warunki, przy których marzyć nawet nie można było o trafieniu... A dzisiaj wyznaje to publicznie, choć nikt go o to nie pyta... Chępli się tem!... Durek powierzył nam honor jakiejś podejrzaną osobistości.

— Trzeba go skłonić do milczenia...

— Za późno!... Cóż on może powiedzieć więcej?...

Panaon jednak nie skończył jeszcze wszystkiego.

— Panowie pojmują — ciągnął dalej — że nie miałem najmniejszego zamiaru ani chęci podstawiać się pod lufę pistoletu pana Cartelegue'a...

— Co on gadał — szepnął markiz do Garrigue'a. — Słyszysz go pan?

— Oszalał chyba ze strachu?

— Okrywa nas śmiesznością.

— Jaki nietaki!

— A raczej jaki cynizm!

Jeden ze słuchaczy Panaona zauważył:

— Dwadzieścia kroków przestrzeni nie świadczy o podstawianiu się...

— To nic nie znaczy! — odezwał fałszywy Australczyk. — Na takiej przestrzeni przeciwnik mógł mnie trafić i aby uniknąć tego musiałbym strzelać pierwszy zaraz po sygnale i raniłbym go ciężko... Nigdybym nie mógł sobie tego darować... Mimo wszystko młodzieniec ten jest bardzo sympatyczny...

Rozległy się przytłumione śmiechy i ironiczne zdania.

— To bardzo piękne!

— Podobna przezorność przynosi tylko zaszczyt.

— A więc starał się pan oddzielić się od swego przeciwnika jak największą przestrzenią, by go nie trafić przypadkiem?

— Lecz czy jest pan pewny, że trafiłby go pan zaraz po komendzie? Trzeba być bardzo wprawnym, by strzelać dobrze bez mierzenia.

Panaon spojrział na tego, kto wątpił o jego zręczności i rzekł spokojnie:

— Naturalnie! Mam też dobre oczy.

I odsuwając się od zgrupowanych dokoła siebie ludzi, podszedł do leżącego na gazonie pudełka. Nachylił się, otworzył je i wyjął z niego jeden z pistoletów, kupionych przedniego dnia do pojedynku. Były nabite. Pistolety, użyte do walki należały do Piotra Cartelegue'a, gdyż przy losowaniu wyciągnięto jego nazwisko.

— Proszę panów! — odezwał się Panaon.

Spojrział dokoła po welodromie i rzekł:

— Widzą panowie nad ławkami tę wielką tablicę, na której wypisano właśnie „automobile Cartelegue”? Co panowie powiedzą o kropce nad i? Zdaje mi się, że mniejszą jest, niż człowiek, a więcej jest do niej, niż dwadzieścia kroków?

Rzeczywiście w odległości stu metrów znajdował się wielki afisz, na którym kropka nad i nie była większą od pięciofrankowej monety. Była zaledwie widoczną. Panaon nie skończył jeszcze mówić, gdy jednocześnie podniósł szybko rękę i nacisnął kurek. Ruch ten trwał zaledwie мгновение oka. Natychmiast rozległ się strzał.

Jednocześnie wszyscy krzyknęli zdumienia. Wiele osób przybyłych z lornetkami zwróciło je zaraz na afisz i przekonało się, że kropka nad i została trafiona w sam środek. Reporterzy pobiegli zaraz z nastawionymi aparatami, by uwiecznić w swych dziennikach ten sławny przez to punkt. Wszyscy go podziwiali. Garrigue i markiz zamienili z sobą spojrzenia i podeszli szybko do swego klienta. Lornetki przechodziły z rąk do rąk przy głośnych objawach zachwyty.

— Nie zawodzi!

— W sam środek!

— Nawet sławny Buffalo, od którego nazwano ten welodrom, nie strzela lepiej.

— Nie lepiej? Nie tak dobrze?

— W rękach swych miał życie Cartelegue'a.

— Do licha! Mógł wybrać sobie na nim miejsce, gdzie trafić, między oczy, albo w serce.

— Tak dobrze na odległość dwustu metrów, jak i trzdziestu kroków.

— I obrócony plecami, mierząc przy pomocy lustra, jak to widziałem w music-hall, gdzie popisował się jakiś amerykański rzelec.

— Cartelegue będzie wściekły, gdy się dowie, że przeciwnik jego chybił umyślnie.

— Wściekły lub też wzruszony i m.

Tymczasem król stu dwudziestu koni nie domyślając się nawet, co się dzieje jeszcze w welodromie, wyszedł z niego w towarzystwie Lewsa Jacksona, Joego Smitha i swych świadków, Maurycy de Terrade i jednego ze swych przyjaciół, znanego sportsmena awiacyjnego. Amerykanin opierał się na ramieniu swego sekretarza; głowę miał opasaną bandażem.

— Mój drogi — rzekł awiator do Piotra — wybaczysz mi, lecz muszę cię pożegnać. Mam rendez vous w Issy les Moulineaux... Uciekam... Do widzenia...

I wszedł do swego samochodu.

— Proszę poczekać na mnie chwilę — rzekł również i Maurycy — mam do powiedzenia dwa tylko słowa pewnej osobie, która oczekuje z drugiej strony welodromu... Zaraz powrócę...

Inżynier pobiegł szybko dokoła ogrodzenia i skręcił na ulicę Villiers, gdzie stała dorożka. Kamilla ukryła się w tym skromnym pojeździe. Panna de Lagun umierała z obawy, gdy się dowiedziała o zaciśnięciu między Piotrem a Australczykiem. Drżała o życie swego przyjaciela. Trwoga jej jednak nie zabijała odwagi. Młoda panna pragnęła być obecną przy walce, lub przynajmniej znajdować się w pobliżu miejsca spotkania. Chciała być przy Piotrze, gdyby on został śmiertelnie ranny.

Baronowa uznała to za śmieszny, romantyczny fantazję i kazała córce pozostać w domu.

Kamilla wiedząc, że woli matki nie przełamać, nie nalegała, lecz w dzień pojedynku wknęła się z mieszkania, prosząc przedtem telefonicznie Maurycyego, by przyszedł na ulicę Villiers oznajmić jej o wyniku walki.

„Jak ona go kocha”, myślał ze smutkiem inżynier, spiesząc do dorożki, w której oknie ujrzał bładą z trwogi swą ukochaną.

Zrobił uspokajający ruch ręki, po którym jasna głowa Kamilli zniknęła. Młoda panna wybuchła płaczem. Radość po tem długim, męczącym czekaniu była zbyt gwałtowna i silna, by mogła nad nią zapanować.

Maurycy zbliżył się do dzwiczek. Kamilla cała zapłakana wyciągnęła do niego rękę.

— Nic mu się nie stało?... — wyszeptala.

— Nic!

— A jego przeciwnikowi?

— Również nic!

— Ach, mój przyjacielu!

W czasie tej rozmowy nie wypuszczała z swych rąk dionę Maurycyego. Inżynier bardzo tem zmieszany, odsunął się cokoświek, mówiąc:

— A teraz pójde uprzedzić Piotra, iż narzeczona jego jest już uspokojona.

Radość dodaje odwagi. Kamilla czuła się obecnie tak szczęśliwą, iż uśmiechając się wśród łez, ośmieliła się zaprzeczyć:

— Ależ ja nie jestem narzeczoną Piotra.

Maurycemu zdawało się, że źle słyszy.

— Chyba — mówiła dalej młoda panna — tylko w oczach świata... Uznaliśmy razem z Piotrem i postanowiliśmy wznąć całą prawdę swym rodzicom, że nasza wzajemna przyjaźń jest bardzo głęboka i ślata, lecz niema w niej nawet cienia miłości...

Serce Maurycyego zaczęło bić silnie.

— Ach! — szepnął — nigdy tego nie przypuszczałem.

Zdanie to, które wymówił bezwiednie, aby powiedzieć cośkolwiek, nie miało żadnego znaczenia, nadawało mu je dopiero drzenie głosu inżyniera. Teraz i serce Kamilli zaczęło bić nie mniej silnie. Maurycy de Terrade był właśnie tym, czyje imię ukrywała przed Piotrem, nie wiedząc, czy człowiek tak zimny i tak przejęty swoimi obowiązками, odczuje jej miłość. I oto w chwili tej inżynier mówiąc do niej, orzy ze wzruszenia, a twarz jego, zazwyczaj obojętną, wyraża jakieś niespodziewane wrażenie... Czyż on kocha?... Ta druga radość, która nastąpiła zaraz po pierwszej, omal nie przyprawiła Kamilli o zemdlenie. Młoda panna opanowała się jednak i z doznanego szczęścia czerpiąc nową odwagę, rzekła:

[[Ciąg dalszy nastąpi].]